

Beethoven

Paweł Biernacki

Helsinki, 10.03.2010

Wstęp

To jest poprawiona wersja „Beethovena”. To opowiadanie s.f., które oferuję Państwu w charakterze pewnego zadośćuczynienia. Jeżeli mają Państwo poprzednią wersję, proszę się jej łaskawie pozbyć. Ona jest ważna, nie chcę zacierać swego błędu, nawet powiem, niniejsze opowiadanie jest tego błędu parafrazą. Ale licencja na tamten tekst upłynęła. Poprzedni utwór miał być farsą, krótkim scenicznym dialogiem. Była tam Pianistka, która bezlitośnie szydziła z Poety. Jedno z szyderstw było takie, że pewnie uważa się za Beethovena i pisze o miłości. Potem Pianistka przypomniała, że Beethoven tracił słuch, że był głuchy. Poeta miał nie rozumieć, że on, uważając się za Beethovena i jednocześnie pisząc o miłości, jest Beethovenem tylko o tyle, o ile tamten mógł być muzykiem – nie słysząc. Dufałem w swoje siły, myślałem, że przecież nie szydę z Beethovena, ani nawet z ludzi niesłyszących, tylko z mojego bohatera. Że tylko wspomnę o tym a mój tekst prześliznie się zręcznie obok i trafi do mojego celu. To mi się nie udało. Nie można domieszać do czegokolwiek wielkiej, naprawdę wielkiej Tragedii i uzyskać czegoś innego niż Tragedia. Nie wiedziałem o tym. Zamiast złośliwości Pianistki cały czas brzmiała mi w uszach kwestia mojego Poety, mówiącego ze smutkiem o tragedii Beethovena. Ja oczywiście włożyłem mu w usta to, co sam bym o niej powiedział, on musiał powiedzieć prawdę. Nie potrzebowałem nawet dodać ani słowa szyderstwa pod adresem prawdziwego Beethovena, to by mi zresztą nie przyszło do głowy – ale, wystarczyło, że o tej tragedii tylko wspomniałem i ona pochłonęła mój tekst. Zniszczyła go. Nie można było o niej tylko wspomnieć – i w ciągu następnych kilku chwil zapomnieć. To jest niemożliwe.

To opowiadanie jest zupełnie z innej beczki. Jest, jak napisałem, parafrazą mojego błędu. Beethoven mnie pokonał. To jest mój skromny akt kapitulacji, oddanie szpady, z głębokim ukłonem.

Beethoven

„To musiała być straszna tragedia, dla niego, zresztą nie tylko dla niego, to jest dramat dla nas, dla wielbicieli jego muzyki. Nie potrafię sobie wyobrazić czym to musiało dla niego być, nie móc komponować, nie móc słuchać tego, co sam skomponował, słuchać jakiegokolwiek muzyki... Artysta, który tworzył i który chciał tworzyć, jednocześnie w sposób tak bezwzględny pozbawiony najbardziej podstawowej materii, swego tworzywa...”¹

Rakieta od miesiący pędziła w kierunku kolejnego ciała niebieskiego, którego pole grawitacji miało wywierać decydujący wpływ na jej trajektorię w ciągu niecałych trzech godzin lotu. Ciało to, gwiazda B., miało niezwykle dużą masę, zgodnie z planem lotu należało ominąć je w wystarczającej odległości, by nie wpaść w pułapkę grawitacyjną. Jednocześnie rakieta musiała uzyskać odpowiednią prędkość na czas owych trzech godzin, które miała spędzić w sąsiedztwie gwiazdy. Prędkość tą można było niestety uzyskiwać jedynie stopniowo, na raty, ponieważ na pokładzie byli ludzie. Rzecz jasna, zmumifikowani. Dzięki operacji zwanej w żargonie pilotów „mumifikacją” można było uzyskać znacznie większe przyspieszenia niż normalnie, choć oczywiście pociągała ona za sobą pewne koszty. Inaczej mówiąc, nie była obojętna dla zdrowia kosmonautów. Operacja była operacją w sensie medycznym, dokonywały jej roboty. Z ciała kosmonauty usuwano co bardziej wrażliwe organy, serce, wątrobę, żołądek i umieszczano je w tak zwanych „inkubatorach” podtrzymujących ich funkcje życiowe, to jest utrzymujących tkanki w stanie aktywności, choć w znacznie obniżonej temperaturze. Cały organ był zanurzony w koloidzie, którego skład był regulowany tak, by utrzymać pewien kompromis pomiędzy wymaganym poziomem bezpieczeństwa dla tkanek oraz maksymalnym dopuszczalnym przyspieszeniem rakiety. Organy stymulowano elektrochemicznie, tak by je „oszukać”, to jest sprawić, by zachowywały się możliwie podobnie jak w żywym organizmie. Serce na przykład nadal zachowywało się tak, jak gdyby tłoczyło krew. Wszystkie organy pracowały, rzecz jasna, niezależnie od siebie, enzymy dla żołądka nie pochodziły z inkubowanej wątroby, zresztą te prawdziwe enzymy mogłyby go uszkodzić, dlatego stosowano substytuty o znacznie niższym poziomie pH. Nie chodziło przecież o prawdziwe trawienie prawdziwych pokarmów, a jedynie o to, by żołądek poradził sobie z ponownym podjęciem swych funkcji po reimplantacji. Sam kosmonauta miał zapewnioną swobodę ruchów, to było zresztą konieczne ze względu na niebezpieczeństwo atrofii mięśni, gdyż stan mumifikacji utrzymywano miesiącami. Krew, nieco zmodyfikowana ludzka krew (oczywiście dostosowana do indywidualnego kosmonauty) była tłoczona pod ciśnieniem przez automatyczne serce, które kosmonauci nie wiedząc czemu uparli się nazywać „króliczkiem”, choć żaden nie potrafił podać rozsądnego uzasadnienia tej idiotycznej nazwy. Płuca oczywiście również były inkubowane, ponieważ normalnie zawierają sporo powietrza, zatem duże przyspieszenia szkodziłyby im w pierwszym rzędzie. Tlen sprężony w specjalnych pojemnikach podawano bezpośrednio do krwi, nie było potrzeby stosowania mieszanek, na przykład dodawania azotu, ponieważ i tak tlen ów nie był wdychany przez płuca. Pojemniki ze sprężonym tlenem kosmonauci nosili w sobie, należało je co kilka dni ponownie ładować (przez usta). Oczywiście przy rozprężaniu znacznie się oziębiał, dlatego musiał być nieco podgrzany, ale osiągnano to za pomocą elektrycznych grzałek wbudowanych w owe pojemniki. Mieli niezły sprzęt, każdy nosił w sobie małe laboratorium. Te grzałki nie musiały być ładowane, nawet przy wielomiesięcznych rejsach, dzięki zastosowaniu niezwykle wydajnych i stosunkowo lekkich akumulatorów. Zafundowaliśmy im takie akumulatory niejako w geście dobrej woli, one były horrendalnie drogie, ale pracodawca zawsze stara się zrobić dobre wrażenie. „Odchudzony” kosmonauta (tj. pozbawiony zasadniczych organów oraz jelit, z wbudowanymi dozownikami tlenu) nie ważył wcale mniej niż normalnie (mógł ważyć i więcej). Płyny ustrojowe były zazwyczaj utrzymywane pod zwiększonym ciśnieniem, cały człowiek w połączeniu z zainstalowaną w nim

1 Z poprzedniej wersji.

aparaturą stawał się niejako inkubatorem, którego zadaniem było utrzymanie przy życiu tego, co w nim jeszcze zostało. To znaczy głównie mózgu oraz mięśni, bo przecież nie baliśmy się o kości. Technologia „mumifikacji” nie była jedyną, być może nie była nawet najlepszą technologią tego typu. Ale spełniała swoje zadania, stanowiła po prostu rezultat różnych technicznych (i prawnych) kompromisów. Była jednak używana głównie do zadań cywilnych, wojsko jak zawsze miało własne rozwiązania, w których cele były oczywiście podobne, ale nieco inne priorytety. Najogólniej mówiąc, chodziło nie tyle o zdrowie, co o wydajność, zwłaszcza minimalizację czasu reakcji. Ponieważ w naszych czasach stosowano już powszechnie tak zwane „katalizatory” to jest sztuczne środki modyfikujące poziom równowagi elektrochemicznej w synapsach (tylko w wojsku) zmieniało się siłą rzeczy i postrzeganie czasu. Człowiek, któremu je zaaplikowano (to była długa, wielomiesięczna procedura) musiał zażywać je już do końca życia, musiał również niemal od nowa uczyć się mówić, stać (tj. utrzymywać równowagę), chodzić. Musiał nauczyć się niejako jeszcze raz posługiwać swoim ciałem, jak gdyby znów był dzieckiem, ale konieczność ta nie wynikała oczywiście ze zmiany ciała, tylko ze zmian, które wywoływano w mózgu, mózdzku i (w mniejszym stopniu) rdzeniu nerwowym. Najogólniej mówiąc reagował szybciej, postrzegał czas zupełnie inaczej i godzina trwała dla niego bardzo, bardzo długo.

Moi kosmonauci byli wszyscy cywilami. Pracowali tylko na papierze, tak naprawdę objali się niemiłosiernie. Rozmawiali o bzdurach, niedobrze mi się robiło od słuchania tego co wygadywali. Mogli rozmawiać, gdyż aparat od wewnątrz tłoczył im do krtani mieszaną gazów, która miała gęstość zbliżoną do powietrza i nie miała smaku. Ulubionym dowcipem takiego kosmonauty była kiedyś ręczna zmiana tej gęstości, tak, by jego głos nabrał nagle piskliwego, koguciego wręcz brzmienia. To na każdym człowieku sprawiało nieprzyjemne wrażenie, na początku. Typowego kosmonautę mogło wszakże bawić miesiącami. Na szczęście ograniczono im możliwość robienia takich dowcipów, technicznie po prostu. Ciśnienie miał regulować tylko automat i tylko wtedy, gdy to jest potrzebne. To i tak była kurtuazja z mojej strony, że pozwalałem im sobie pogadać, bo mogłem im nawet w ogóle odciąć ten gaz. On, rzecz jasna służył tylko do mówienia, nie miał nic wspólnego z oddychaniem, tlen dostawali przecież bezpośrednio do krwi. Czytali sobie też komiksy i oglądali filmy, bo mieli zastrzeżone w kontrakcie, że im nie usuniemy gałek ocznych na czas mumifikacji. Niby dla zdrowia, w rzeczywistości dlatego, żeby im się mniej nudziło. Tak naprawdę i oni i wszyscy w ogóle wiedzieli, że byłoby zdrowiej im jednak te gałki oczne usunąć. Przecież oko to nie jest mózg, to się da technicznie bez problemu zrobić. Po prostu słuchaliby więcej muzyki. No ale oni już tak mają. Co ja im będę tłumaczył. Taki kosmonauta nie jest idiotą i sam dobrze wie, że duże przyspieszenie jest szkodliwe dla oczu. Nie chcieli. Ich sprawa. Tak naprawdę wcale im się nie dziwię, człowiek jest wzrokowcem, zresztą zależało im na tym, żeby sobie grać w gry komputerowe. To są eksperci od gier. Zawsze mnie bardzo uprzejmie zapraszali do gry, nawet mogliśmy grać w gry zręcznościowe, bo byli jeszcze blisko. Wymawiałem się, że obowiązki, praca, rodzina. Czasem ulegałem. Za każdym razem straszliwie dawali mi w skórę. Ale to byli kosmonauci. 90% czasu obliczeniowego maszyn cyfrowych na pokładzie rakiety to było przetwarzanie tekstur na jakichś trójwymiarowych potworach. Utrzymywaliśmy łączność przez ultrafiolet. To była technologia opracowana bardzo, bardzo dawno temu, może nawet z tysiąc pięćset lat temu, specjalnie dla tego typu rejsów. Fale radiowe mają małe częstotliwości, to jest wada, ale ich zaletą jest to, że w obecności atmosfery i innych przeszkód się odbijają. Inaczej mówiąc - na planetach. Ultrafiolet oczywiście byłby w takich warunkach bezużyteczny ale dla rejsów średniego zasięgu nadawał się doskonale, ponieważ można było gęściej upakować informacje (czasem tego żałowałem), a poza tym dało się wiązki dokładniej orientować i odbierać. Z ultrafioletem byłby jeden problem, gdyby między nami były jakieś przeszkody, ale oczywiście żadnych nie było. Próżnia. Technologia bezsensowna w jednych warunkach czasem nabiera sensu w innych warunkach. Kiedyś czytałem, że maszynę parową znano już jakieś dwanaście tysięcy lat temu, w starożytności, tyle, że była nieopłacalna.

Ostatnie cztery godziny nabierania prędkości w okolicach B. obserwowaliśmy wszyscy z Bazy.

Ludzie na rakiemie musieli być zapięci, bez żadnego rozsądnego powodu, przecież przyspieszenie było cały czas takie samo, ciąg się nie zmieniał, a sam swobodny spadek w polu grawitacyjnym pobliskiej gwiazdy B. w ogóle nie daje się przecież odczuć. Nikt nie odczuje swobodnego spadku, dopóki w końcu nie spadnie. To był kiedyś taki dowcip, teraz już jest pewnie mało śmieszny. Gdybyśmy coś przy planowaniu zepsuli mogło ich szarpnąć przy zmianie trajektorii, bo tak jest zawsze przy ruchu po krzywej. To wynika po prostu z dynamiki. Przy ruchu postępowym można jeszcze wiele rzeczy kontrolować, ale zakrzywiony tor musi się zemścić, na to nie było rady. Ludzie musieliby, jak to się mówi, dostać w d... od Newtona. Tyle, że krzywizny były obliczone, bezpieczne, no i zależały tylko od nas. Jedyne co tak naprawdę wpływa na lot to silniki, a silniki zachowywały się przepięknie. Nie chcę się przechwalać, ale mamy doskonałego, sprawdzonego podwykonawcę od napędu. Najgorsze doświadczenia mam z firmami, które dostarczały jedzenie. Wiedzieli, jedzenie jest potrzebne tylko na początku i na końcu rejsu, że ma być smaczne, nie musi być wyszukane, nawet niekoniecznie specjalnie urozmaicone. Przecież prawie przez cały rejs ludzie nie mieli nawet żołądków. Problem w tym, że oni mieli monopolistyczną pozycję na rynku i jedzenie było przez to drogie jak diabli. Nie mówię, że to była najdroższa rzecz w całym rejsie. Najdroższe było, jak zawsze, ubezpieczenie. Ale ci od żarcia też nas sporo kosztowali, a zachowywali się tak, jakby nam dostarczali oprogramowanie do nawigacji.

- Panie nawigatorze? - usłyszałem nagle w „słuchawkach”. To było z rakiety, pewnie im się nudziło tak siedzieć. Poznałem głos 498.
- Czego?
- Tu się coś nie zgadza.
- Co się nie zgadza? Do toalety znowu?

To był z mojej strony żart, głupi zresztą, bo oni przecież nie wydalali. No ale co się mogło nie zgadzać?

- Panie nawigatorze - usłyszałem głos 523 – on ma rację. Pan kapitan nam mówi...
- ... Już widzę – dostałem to już na swoje soczewki. Pan kapitan to był ich główny komputer.
- Pan kapitan mówi, żeby najlepiej zmienić trajektorię o sześć sekund na zewnątrz i pyta, czy pan się zgadza. Ma pan...
- ... Widzę – Kapitan prosił o odpowiedź w czasie mniej więcej dwudziestu pięciu sekund. - No bez przesady. Trajektorie są policzone. Zaczekaj... - rzuciłem parę słów do naszego starszego trajektora. Trajektor też dostał pytanie kapitana, powiedział, że się nie zgadza, zażądał trzydziestu ośmiu sekund na decyzję.
- Panie nawigatorze, pan kapitan dał taki dziwnie krótki czas, a my przecież lecimy z tymi samymi parametrami od dwustu minut... - trochę nerwowym głosem rzucił 498
- Zaczekaj – powiedziałem – wyłącz go - rzuciłem do koordynatora. Koordynator to była taka maszyna do opieki nad samym lotem. 498 przestał mówić, choć nadal ruszał ustami. Wyglądał na niezadowolonego, może nawet lepiej, że nie słyszałem, co chciał powiedzieć. Koordynator odciął mu gaz do mówienia. To była właściwie moja pomyłka, bo ja na niego (na 498) trochę wcześniej nakrzyczałem i koordynator to słyszał. Chciałem, żeby wyłączył fonię po naszej stronie, a nie żeby mu odcinał ten gaz, bo to jest jednak trochę niegrzeczne. Kapitan powiedział, że jak ma trzydzieści dwie sekundy (bo tyle zostało), to on prosi o zgodę na poprawkę siedmiu stopni, albo chce negocjować z pominięciem ludzi. To była taka formułka. On był najszybszą inteligentną maszyną na pokładzie. Ja byłem wprawdzie wyższy rangą, ale on był odpowiedzialny za raketę no i za swoich ludzi. Skoro o to poprosił, miałem wolną rękę, żeby im pozwolić samodzielnie wynegocjować co robić. Pozwoliłem. Dostawałem rezultaty

negocjacji, żadne wykresy, tylko sugerowane decyzje.

- Panie nawigatorze, pan kapitan kazał nam wejść do trumien bo za chwilę może być gorąco... - usłyszałem milczącego do tej pory 142. On nigdy dużo nie mówił, to zawsze był taki milczek.
- Właźcie - Pomyślałem, że kapitan chce ich po prostu nastraszyć, to było do niego podobne. Trumny to takie urządzenia, żeby w razie czego chronić mózg i rdzeń kręgowy. W razie akceleracji, na przykład. Rękę czy nogę można sobie łatwo kupić, mózgu się nie kupi. No ale po co akceleracja, przecież lecą jakieś dwa megametry od gwiazdy, w dodatku szybko i w próżni. Kapitan chciał sobie pewnie zostawić możliwość manewru, to nie była głupia maszyna. Skoro dałem im możliwość podejmowania samodzielnej decyzji, to już mnie nie musiały o nic pytać. Oczywiście, mogły pytać, ale tak z kurtuazji. Tyle, że co innego podjąć decyzję a co innego ją wykonać. Kapitan myślał bardzo szybko ale musiał brać poprawkę na możliwości swoich podwładnych. On mógł sobie wydać decyzję w ciągu piętnastu milisekund i przy tym grać jeszcze w szachy. Z tym, że teraz akurat nie grał w szachy. Dyskretnie sprawdziłem. Musiał być przerażony.
- Panie nawigatorze – to był głos kapitana – Tutaj mamy anomalie pola.
- Grawitacyjnego?
- Magnetycznego, co pan... - On ładnie operował głosem jak mówił. Ten głos nie był oczywiście syntetyzowany w rakiecie, tylko u nas. Miał rację, pole grawitacyjne dokładnie zbadaliśmy. Ale to jest przecież łatwe i da się zrobić przez „lornetkę”. Żeby zbadać pole magnetyczne trzeba było je mierzyć z bliska, poza tym ono się może bardzo szybko zmieniać.
- No i co pan proponuje?
- Bo ja wiem... Może by tak na przejść na światło?
- Panie nawigatorze! - 498 odzyskał głos (koordynator się nad nim zlitował, poza tym formalnie mógł to już teraz zrobić, bo jego też obejmowała ta permisja co do podejmowania decyzji z pominięciem ludzi)
- Panie 498, siedź pan cicho i nie krytykuj decyzji przełożonych! - powiedział surowo kapitan. Kapitan chciał przejść na światło, to znaczy tak naprawdę wyłączyć całą elektronikę. Bał się tego pola, nie miał żadnych gwarancji co się może stać. Przecież to cholerstwo indukuje prądy.
- Przejdź pan na światło, ludzi do trumien i może by spróbować to jakoś zneutralizować... - udawałem, że mogę być mądrzejszy od kapitana.
- Też tak myślałem – powiedział kapitan – ale przecież wszystkie te neutralizatory są na drutach, no bo na czym mają być. Ja się boję ich teraz w ogóle aktywować... - To była taka przenośnia. On się byle czego nie bał, tylko chciał mieć po prostu sprawną raketę no i zdrowych ludzi. On o nich naprawdę dbał.

To było ostatnie, co usłyszałem. Ultrafiolet to są fale elektromagnetyczne przecież, światło po prostu, ale nadajniki były oczywiście „na drutach” jak mówił kapitan. Więc musieliśmy pogodzić się z tym, że przez jakiś czas łączności nie będzie, to znaczy, że nie będzie jej w jedną stronę, bo oni cały czas mogli nas słyszeć. Żeby ich jakoś podtrzymać na duchu zacząłem gadać:

- Nie mamy już sygnału. Patrzymy sobie na was. Wszystko ładnie. - Zrobiłem przerwę, w końcu to byli dorośli ludzie i doświadczony kapitan. Wiedzieli, że nic im nie grozi, jeśli uda im się jednocześnie ominąć dwie pułapki – grawitacyjną i magnetyczną.
- Cały czas was widzimy. - Kapitan bardzo delikatnie przyspieszył, ja tego zresztą sam nie miałem szans sprawdzić, trajektor mi powiedział. Dobrze, ma jeszcze jakieś dwie i pół godziny lotu. Zaczęli zbliżać się do gwiazdy, mierzyliśmy wysokość, była w granicach rozsądku, zresztą lecieli szybko. Jeszcze przez dziesięć minut gadałem bez sensu do Kapitana i jego ludzi, wiedząc, że nie otrzymam odpowiedzi.

- Panie nawigatorze – powiedział nagle trajektor. - Oni nie przyspieszają.
- Jak to nie przyspieszają, co mi pan opowiada? Przecież zbliżają się do gwiazdy i ciągną ją bokiem, to jak mają nie przyspieszać? A grawitacja? - Gwiazda powinna ich przecież przyciągać, każdy obiekt obdarzony masą tak robi. Jeśli gwiazda ich nie przyspieszała, przyciągając do siebie, to w ogóle cały mój plan był bez sensu. Cała fizyka była bez sensu.

Trajektor milczał. Nagle poczułem strach, okropny, duszący strach.

- Przecież muszą spadać! - krzyknąłem wręcz do trajektora. On zupełnie nie wziął tego sobie do serca. On był zawsze bardzo opanowany, zresztą też był maszyną. Powtórzyłem – Przecież muszą spadać! Muszą przyspieszać! Co ich spowalnia? Ciemna materia? Przecież lecą w próżni!
- Jeśli tam jest silne pole magnetyczne, to wcale niekoniecznie, panie nawigatorze - wtrącił się koordynator.
- Ale przecież wyłączyli elektronikę, nic im się nie stanie!
- Oni wyłączyli elektronikę, ale rakieta jest cały czas taka sama. Jest zbudowana z tego samego materiału, z włączoną elektroniką czy bez niej. Oni tylko mniej ryzykują, niż gdyby ją włączyli, ale obawiam się, że ... kapitan popełnił błąd.

Trajektor kłamał. Nie chciał mi tego powiedzieć wprost, ale to ja popełniłem błąd. Zabiłem trzech ludzi. Właściwie zabiję ich dopiero za kilkadziesiąt minut. Długie, strasznie długie minuty.

- Oni mogą niedługo zacząć przyspieszać, nawet powinni, ale to ich już wcale nie uratuje. - Dodał cicho koordynator.

Rakieta, nawet z wyłączoną elektroniką, musiała w silnym polu magnetycznym zwalniać. To wynika z prawa indukcji magnetycznej. Wzbudzone w niej prądy muszą przeciwdziałać ruchowi rakiety. Gdyby tak nie było, to w ogóle przeczyłoby to zasadzie zachowania energii, bo można by sobie indukować prądy „za darmo”. Tyle, że żadna gwiazda nie ma tak silnego pola. Dlaczego nie dostrzegłem jej wyjątkowości? Dlaczego ta gwiazda, której grawitację chciałem wykorzystać, która miała stać się tylko elementem układanki, ułatwić łatwe osiągnięcie celu, tak strasznie ze mnie zadrwiła? To była bezpieczna gwiazda, mówiłem. Ona była łagodna. Była taka piękna. To przecież nie była żadna czarna dziura ani jakaś supernowa. To była gwiazda łagodna jak dziecko. Urzekająca gwiazda. Zamiast łatwego sukcesu przyniosła mi klęskę. Chciałem, żeby zagrała wyznaczoną jej rolę w moim planie. Napisałem dla niej scenariusz, a ona – nie chcąc przecież wyrządzić mi krzywdy, tak straszliwie wyraźnie pokazała mi kim dla niej jestem ja, z moim precyzyjnym planem, ze scenariuszem. Pokonała mnie najdelikatniejszą z sił we Wszechświecie. I sprawiła, że nigdy jej nie zapomnę.

Linki

http://www.poezja.pawelbiernacki.net/index_pl.html

http://www.poezja.pawelbiernacki.net/pdf/index_pl.html

Internet

Utwór “Beethoven” można ściągnąć jako dokument PDF ze strony (http://www.poezja.pawelbiernacki.net/pdf/index_pl.html). Zapraszam.

Paweł Biernacki